Świat powieściowy.

Nr. 150 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

— A więc wszystko zostaje, tak jak poprzednio z wami ułożyłem — rzekł Wilmut. — Pojutrze jadę do stolicy i spodziewam się, iż przywiozę wam z tamtąd zapewnienie, iż roboty może jeszcze i w tym roku się rozpoczną. Aż do tej chwili polećmy nasze mienie temu Panu nad Pany, który i żywiołom wszelkim rozkazuje. Czyż wypada nam wątpić w jego miłosierdzie, gdy przez lat tyle osłaniał nas swojem ramieniem wszechpotężnem?! Zaprawdę mówię wam, iż wierzących i ufających, Bóg i nadal nie opuści, i od nieszczęścia zachowa!

W słowach brzmiała wiara i przekonanie niewzruszone, głębokie! Trafiały też do serc prostaczków. Wieśniacy otoczyli proboszcza, dziękując i zapewniając o ich bezwarunkowem posłuszeństwie i najwyższem uwielbieniu. Każdy cisnął się, aby rękę jego z pokorą ucałować, a gdy ich wreszcie pożegnał, rozeszli się, unosząc to samo co i stary Eckfried przeświadczenie, że mają w swoim proboszczu skarb nieoceniony, jakiego drugiego nie ma już na całej świata przestrzeni!

Wilmut w rzeczy samej wybrał się natychmiast do stolicy. Nie lubił odkładać tego, co raz postanowił, a co się tyczy gorliwości i energji, sprawa nie mogła znajdować się w lepszych rękach. Wysłał krótki bilet do Rosenberg, aby krewną swoją o wyjeździe uwiadomić i drugiego dnia raniuteńko sanki odwiozły go do stacji najbliższej.

Siedziba w Rosenberg i wśród zimy, zachowała swój charakter łagodny, przyjemny, niby wcielenie roskosznej sielanki. Słońce zimowe, ozłacało właśnie pokoik Lily, pełen zieleni i woni kwiatów, a mieszkanka tego ślicznego gniazdeczka, siedziała przed biurkiem, zajęta pisaniem, zapewne do jednej z licznych z pensji przyjaciółek. Dotąd nie zerwała jeszcze zupełnie tych węzłów, zwykle bardzo nietrwałych, i młode damy posyłały sobie nawzajem, na bitych czterech lub nawet ośmiu stronnicach, wrażenia w krótkiem życiu zebrane, poglądy nader rozumne na świat i ludzi, wreszcie troski swoje i radości.

Ostatniemi czasami przyjaciółki haniebnie zaniedbywała, a i w tej chwili, słowa z serca na papier przelewające się szybko, drobniutko i pismem ładnie uformowanem, nie tyczyły się żadnej młodej damy, z owego licznego zastępu ukochanych, lecz były wystosowane do pewnego jegomości, na chrzcie świętym Pawłem nazwanego, który obecnie należał do najzapaleńszych Lily korespondentów.

Paweł, ma się rozumieć, skorzystał natychmiast z otrzymanego pozwolenia. List pierwszy był jeszcze tak rozpaczliwy, iż Lily musiała przecież posłać mu słów kilka na pociechę. To poskutkowało; list drugi był już o wiele spokojniejszy, ale tak gorąco błagający o dalsze pociechy, iż Lily złote serduszko prośbie oprzeć się znowu nie umiało, i tym sposobem wywiązała się między nimi stała korespondencja, która dotychczas uchodziła szczęśliwie, przemycana pod firmą przyjaciółek z pensji. Paweł listy swoje pieczętował jakąś niewinną dewizą i tak przekraczały w sukience pozornej niewinności granice Rosenbergu.

Lily podobała się niesłychanie rola pocieszycielki i anioła opiekuńczego, a widząc jak znakomite i nadspodziewane rezultaty, jej metoda, lecząca dusze zbolałe, osiągnęła u młodego barona, postanowiła rozciągnąć i na drugiego odpalonego konkurenta swoją misję pocieszycielki utrapionych i wzięła się na serjo do wujcia Freisinga, nie przeczuwając, jak wiele złego tem nabroi!

U poczciwego mecenasa wzięła istotnie górę stara przyjaźń i zażyłość, łącząca go od lat wielu z domem Wilmutów, nad zranioną srodze miłością własną, przez odmowę pięknej wdówki. Bywał jak dawniej w Rosenberg i we wszystkich sprawach był doradcą najwierniejszym. Tak jednak z początku źle wyglądał, taką miał minę żałośliwą, iż Lily naprawdę litością zdjęta, próbowała wszelkich sposobów, byle tylko wujcia rozweselić.

Freising przyjmował dowody współczucia najprzód z szczerą wdzięcznością, następnie niestety, tłumacząc je najfałszywiej! Wyobraził sobie, iż osoba jego wywarła silne wrażenie na to serduszko szesnastoletnie, zaczął się namyślać całkiem na serjo, czyby siostra młodsza nie mogła mu starszej zastąpić i tym sposobem dnia pewnego zdarzyło się nowe nieszczęście! Pan mecenas wyfrakował się, wyperfumował, obstalował drugi piękny bukiet i pełnemi żaglami popłynął po... kosz piąty!

Tym razem była mu nader pożądaną wiadomość, iż pani Hertenstein nie ma w domu, i to mu również było na rękę, że panna Hofer jest chwilowo niewidzialną. Usłyszawszy, iż Lily jest w swoim pokoju, skorzystał z przywileju starego domu przyjaciela, idąc wprost do niej.

Lily przestraszona drzwi skrzypnięciem, list czemprędzej do szufladki wrzuciła, kluczyk wyjmując, gdy jednak spostrzegła wchodzącego, skoczyła ku niemu z radością serdeczną i niekłamaną.

— Ach! wujcio Freising!

Przywitany w ten sposób, skrzywił się cokolwiek. Dziś w szczególności tytuł poważny wujcia nie był mu bynajmniej pożądanym, serdeczna atoli radość dziewczęcia zneutralizowała cokolwiek złe wrażenie tego wyrazu. Zaraz też przystąpił do kroków wstępnych, przytrzymując małą rączkę w swej dłoni, którą następnie z galanterją ucałował.

Lily nie myślała jeszcze przeciw temu protestować. Pocałunek nie był jej wprawdzie tak przyjemnym, jak ów, który złożył jej w hołdzie młody baron Werdenfels, rycerskość atoli mecenasa, zasługiwała zawsze na uznanie. Zaczynał raz przecie dostrzegać d a m ę w dotychczasowej m a ł e j, a ten dowód szacunku tak ją zachwycił, iż przez wdzięczność, pomocną była nawet grzecznemu wujciowi w zdjęciu futra, które w roztargnieniu i wielkim pospiechu zapomniał zdjąć w przedpokoju.

Ale o nieba! wyszedł najprzód frak na jaw, dalej wielce podejrzane jasne, *glacé* rękawiczki, wreszcie coś z kształtu nader do bukietu podobnego, w papierowej od zimna osłonie. Lily coraz szerzej oczęta roztwierała, w miarę, jak mecenas wyłaniał się z ciężkiej, futrzanej odzieży, niby motyl świetny, barwami tęczy umalowany. Gdy na koniec podał jej pyszny bukiet z papieru uwolniony, z samych fiołków, hjacentów i konwalji, z komplimentem pełnym znaczenia głębokiego: — „prześlicznemu fiołeczkowi pierwsze kwiatki wiosenne!“ — wtedy już ani na chwilę nie wątpiła, że to piąty warjant na temat cztery już razy obrabiany. W pierwszej chwili oniemiała z przerażenia, Freising zaś wychodząc z zasady: „że kto milczy, ten przystaje“ ciął dalej swoją sztukę, z pewnemi jednak odmianami, przez wzgląd na latka młodziutkie piątej „sercem wybranej“ i przeplatając z częsta słów potok metaforami: „O wiośnie, tej młodości roku, o młodości, tej wiośnie życia, o skromnym fiołku i jego uroku niezrównanym“ — zakończył zaś najformalniejszą deklaracją.

Lily tymczasem ze strachu ochłonęła i nawet, co prawda, wzięła ją szalona ochota parsknąć śmiechem wesołym, nagle jednak błysnęła jej myśl podniosła, iż to pierwsze na serjo oświadczyny, pierwsza małżeństwa propozycja, pasowanie niejako na pannę dorosłą, wypada zatem znaleźć się odpowiednio i zachować powagę damy wielkiego świata. Stłumiła zatem dziecinną wesołość i przybrała minkę uroczystą, a gdy adwokat skończył swój wywód, oświadczyła mu z niskim dygiem słowo w słowo to, co usłyszał niedawno od Anny. Pamięć Lily doskonała zatrzymała tak samo siostry starszej odpowiedź. jak i odrecytowała Pawłowi ustęp z kazań księdza Jerzego o samobójcach, i czekających tychże po śmierci mękach piekielnych! Zapewniwszy konkurenta „o najwyższym szacunku,“ ofiarowała mu „przyjaźń i wdzięczność dozgonną“ za tak wielki zaszczyt, który jej czyni.

— Już znowu ta trójca nieszczęsna — zerwał się Freising jak oparzony — złożona z „szacunku, przyjaźni i wdzięczności!“ Droga pani! nie dorzucisz-że na szalę bodaj odrobinki czulszego dla mnie uczucia?

Słowa brzmiały tak żałośliwie, iż Lily do głębi wzruszona, zapominając o nonszalancji wielkiej damy, chwyciła go serdecznie za obie ręce.

— Ja wujcia doprawdy lubię szczerze i cenię jak najlepszego naszego przyjaciela — rzekła niemal ze łzami — ale...

— Ach! to „ale“ nieszczęśliwe! — zawołał adwokat — nieodstąpi odemnie niby *fatum* złowrogie! Żebym też raz, zamiast tego wiecznego „ale“ z najrozmaitszemi dodatkami, mógł króciutkie „tak“ usłyszeć!

Lily czuła się dotkniętą do żywego tą gorżką wymówką, żałując z serca, iż tego skromnego życzenia w żaden sposób spełnić nie może. Pociągnęła adwokata na kanapkę, a siadając obok, tak przemówiła:

— Zastanówmy się tylko wujaszku kochany głębiej nad tem *fatum*, a może potrafimy je usunąć.

— Chcesz więc pani czasu do namysłu?! — wykrzyknął Freising cały rozpromieniony.

— O! co do mnie — Lily energicznie zaprotestowała — wszelki namysł na nic by się nie przydał! Mam zaledwie lat szesnaście, a pan...

— No! jestem o wiele starszy... różnica wieku między państwem Hertenstein była atoli jeszcze znaczniejszą...

— Niezawodnie! ale nie wiem, czyby panu wystarczyło przywiązanie wnuczki do dziadunia, jakie Anna niosła w darze prezydentowi?

— Nie pani! — adwokat nader kwaśno odrzucił — do powagi dziadka nie mogę w żaden sposób rościć sobie pretensji! Mam dopiero lat czterdzieści i sześć!

— Ja też o tem tylko nawiasem... dla przykładu wspomniałam! — tłumaczyła się Lily zmięszana. — Tak bym z duszy całej rada panu dopomódz! a skoro sama wyjść za pana nie mogę... cobyś na to wujciu powiedział, gdybym ci inną żonę wskazała?!

Propozycja brzmiała nader serdecznie, mecenas jednak nie mogąc dotąd strawić porównania z dziaduniem, gniewny i rozdrażniony szorstko odrzucił:

— Dziękuję! Potrafię sam się o nią postarać... jeżelibym w ogóle przedsiębrał coś podobnego!

— Tylko na miły Bóg! nie w piątek! — Lily rączki błagalnie złożyła. — Znowu dziś ten dzień feralny, który z pewnością winien jedynie całemu nie-

szczęściu! Panna Hofer już to panu za pierwszym razem wywróżyła!

— Tak panna Hofer, jak i jej śmieszne przepowiednie, nic a nic mnie nie obchodzą! — wybuchnął gwałtownie mecenas.

— Jaka szkoda! — Lily spojrzała na niego wystraszona. — A ja chciałam właśnie Emmę za pana wyswatać!

Tego było nadto dla biednego, umęczonego prawnika! Skoczył na równe nogi.

— Pani drwisz ze mnie bez litości! Myślę, iż stosunek nasz wzajemny, jawnym jest dla świata całego! Panna Hofer patrzy na mnie ze wstrętem najwyższym, jako na suchego, nieznośnego pedanta, a ja wyśmiewam przy każdej sposobności jej zacofanie i ślepą wiarę w przeróżne gusła i zabobony! Nie kryjemy się bynajmniej z naszemi uczuciami!

Porwał wściekle za futro i kapelusz, aby czemprędzej uciec z domu, gdzie jego szczere uczucia ośmielają się w żart obracać. Lily jednak przytrzymała go i rzekła z krwią najzimniejszą

— Pozory mylą częstokroć... panna Emma kocha się w panu!

— Jak?... co?... jakim sposobem? — Freising osłupiał.

— Kocha pana z pewnością, tylko nie chce się z tem zdradzić.

Mecenas od drzwi zawrócił, złożył na krześle futro i kapelusz, napowrót na sofkę siadając.

— Zkądże pani wiesz o tem?

Lily zmięszała się cokolwiek. Właściwie o niczem nie wiedziała, tylko ot tak sobie na wiatr słowa rzuciła. Ułożyła w swej małej główce, aby wystarać się dla wujcia poczciwego o to króciutkie, a wiele znaczące „tak“. Skoro dwie panie w Rosenberg, złożyły mu jedynie w darze przyjaźń i szacunek, serce zatem powinna mu była trzecia ofiarować i tę trzecią na prędce umyśliła ubrać w czepek i ozdobić tytułem mecenasowej. Kość atoli była rzucona i Lily musiała wybrnąć jakoś z tego impasu! Zaczęła więc wujcia tak wymownie o tej prawdzie niezbitej przekonywać, tyle dowodów nagromadziła, iż w końcu sama była tego pewną.

Freising słuch wytężył z uwagą, na wszelkie uznanie zasługującą. Widocznem było, jak go mile głaszcze po sercu roskoszne przekonanie, iż jakaś żeńska istota żywi dla niego potajemnie uczucie czulsze niż zimny szacunek, ukrywając je pod maską obojętności, aby na jaw nie wyszły. Gdy Lily skończyła, westchnął i rzekł uroczyście:

— Dajmy temu pokój... chwilowo. Po tak bolesnym zawodzie muszę odpocząć... namyśleć się... zanim mógłbym coś podobnego na nowo rozpocząć. Wdzięczny ci jednak jestem Lily za twoje współczucie i chęci najlepsze... tylko zaklinam na wszystko, niech się panna Emma nie dowie, z czem dzisiaj do Rosenberg przybyłem!

— Ani mru mru! — Lily paluszek do ust przyłożyła — będę jak grób milcząca!

Wypowiedziawszy słowa ostatnie z giestem wielce patetycznym, pospieszyła pomódz odpalonemu konkurentowi i futro mu z wszelką atencją podała. Freising przyjął pomoc najspokojniej. Miał przecież czas z tem się oswoić, iż razem z koszem składano mu w ofierze przysługi rozmaite i dowody szacunku najgłębszego. Na pożegnanie rzucił jeszcze na młode dziewczątko wzrokiem żałośliwym i odjechał.

Na schodach zetknął się z panną Hofer, oddając jej ukłon niezwykle niski i pełen znaczenia. Emma prosiła, żeby raczył chwilkę zaczekać, pani Hertenstein bowiem wróci z pewnością na obiad. Tłumaczył się brakiem czasu, obiecując atoli wizytę swoją za dni kilka. Zauważyła z niemałem zdziwieniem, iż mecenas stanął w drzwiach wchodowych, spojrzał na nią przeciągle i badawczo, jakby się po raz pierwszy w życiu spotkali, i dopiero po drugim ukłonie udał się do powozu, który czekał przed domem.

W pół godziny Anna powróciła. Uwolniwszy się z futra i kapelusza, przeglądała torbę pocztową, którą w tej chwili posłańcowi z rąk odebrała. Wzrok jej przebiegł szybko i obojętnie po adresach własnych, za to spoczął tem dłużej na sporym liście do Lily adresowanym. Wpatrywała się uważnie i z pewnym odcieniem niepokoju w charakter pisma, gdy drzwi do jej pokoju sypialnego na oścież rozerwano gwałtownie i Lily wpadła jak bomba, z bukietem w rękach.

Jednym skokiem była już przy siostrze, która list napowrót do torby wsunęła, i natychmiast bez wstępu żadnego, zaczęła pani Hertenstein recytować, co za wypadek nadzwyczajny spotkał ją tego ranka. Uszczęśliwiona pierwszemi oświadczynami, cała rozgorączkowana, trzepała tak szybko i bez związku, iż wreszcie Anna zawołała niecierpliwie:

— Mów-że dziecię wolniej i zrozumialej. Któż to ci się oświadczył i kto chce twoją rękę?...

— Wujcio Freising! — Lily podniosła w górę bukiet tryumfująco. — Nie wiedział, żem wtedy słuchała pod drzwiami, gdy się tobie oświadczał. Zdziwił się nie lada, gdym mu słowo w słowo to samo powtórzyła, co z ust twoich usłyszał. Ale tak się zgryzł tym razem biedaczysko, że o mało w głos się nie rozpłakał!

Anna litościwie głową potrząsła.

— Nie pojmuję Freisinga doprawdy! Jak może człowiek rozumny, na tym jednym punkcie posuwać się do tak śmiesznych niedorzeczności! Jest-to u niego manją nie do uleczenia!

— O! ja wujcia na pewno wyleczę — wtrąciła Lily z naciskiem — skoro mu się o żonę postaram!

— Tylko żadnych dzieciństw Lily, bardzo to sobie wypraszam! — przemówiła pani Hertenstein ostro i stanowczo.

Ma się rozumieć, iż Lily przyjęła admonicję jak najgorzej, w poczuciu wielkiej swojej godności i dojrzałości. Wywijając bukietem, niby chorągwią wol-

ności, zażądała stanowczo, żeby ją odtąd za pannę dorosłą uważano, oświadczyła, iż teraz już się dobrze „na tych wszystkich sprawach“ rozumie, a jak ją będą lekceważyć, gotowa na złość zostać panią mecenasową!

Cały ten słów potok niestety, nie wywarł na Annę wrażenia najlżejszego. Bukiet z krwią zimną z rąk Lily odebrawszy, rzekła tonem żartów niedopuszczającym:

— Przestań pleść głupstwa! Mam z tobą na serjo do pomówienia.

Lily od razu minka zrzadła. Znała się dobrze z tym tonem i czołem groźnie zmarszczonem, przed czem miała strach okrutny. Cała jej wielkość prysnęła nagle, niby bańka mydlana, i podniósłszy na siostrę wzrok nieśmiały, zdawała się ją błagać nim o miłosierdzie.

— Kilka razy z rzędu zauważyłam to samo pismo między korespondencją, który ty odbierasz — Anna list z torby wydobyła. — Myślałam, iż pisujesz do jednego z twoich profesorów. Dziś dopiero przypatrzywszy się lepiej kopercie, dostrzegłam stampilję pocztową z Werdenfels. Któż ztamtąd może do ciebie pisywać?

Młode dziewczę zarumieniło się aż po białka ócz, odpowiedziało jednak natychmiast bez wahania:

— Baron Paweł Werdenfels.

— Tak często zatem do ciebie pisuje? I ty mu naturalnie odpowiadasz? Dla czegoż kryłaś się z tem przedemną?

— Bo byłaś tak srogą, tak okrutną, iż nie chciałaś go nawet bodaj słówkiem czulszem pocieszyć—wybuchła Lily z gorżką wymówką. —Opisałam ci przecie jego rozpacz! nadmieniłam, iż był bliskim samobójstwa, aleś była głuchą na to wszystko! Sama więc podjęłam się pocieszać strapionego, pozwoliłam mu pisywać, przed tobą milcząc o tem z bojaźni, abyś mi korespondencji nie zakazała. Tego przecie nikt mi zabronić nie może, słowem pociechy ratować nieszczęśliwego, nie tylko od śmierci przedwczesnej tu na ziemi, ale co więcej, od potępienia wiekuistego! Moje współczucie to nić jedyna, która go wiąże jeszcze z życiem! Powtarza mi to w każdym liście.

Tchu jej zabrakło z wielkiego wzruszenia; wzrok Anny spoczął badawczo na twarzyczce zarumienionej, jakby chciał skrytości serduszka przeniknąć. Biedne, naiwne dziewczątko, ani się spodziewało, jak zdradzieckim jest ten rumieniec, i jak siostra czyta w jej rysach, niby w księdze otwartej, wszystkie jej tajemnice. Odezwała się wreszcie Anna z naciskiem:

— Lily! otworzę ten list w twojej obecności.

— Uczyń to! — gwałtownie zawołała. — Przekonasz się, iż tam tylko o tobie jest mowa.

Anna czytać zaczęła. Był to raczej dzienniczek, z trzech arkuszy złożony, aniżeli list zwykły. Początek był jeszcze dość melancholijny. Paweł zapewniał, iż zawodu doznanego nigdy nie przeboleje, że odebrano mu ideał życia jego! Przyszłość przedstawia mu się niby step głuchy i pusty, a jeżeli błyśnie promyk jaśniejszy na jego ciemnym horyzoncie, to jedynie zawdzięcza go swojej nieocenionej, najłaskawszej pocieszycielce!... poczem następował wylew dzięków najczulszych.

Przepraszając, iż pisze mimo, że jeszcze na list ostatni nie otrzymał odpowiedzi, przeszedł mimowolnie w ton o wiele spokojniejszy. Była mowa o pewnych krzaczkach leszczyn, do których serce mu się rwało z dziecinną tęsknotą, napomknął również o przykrych stosunkach w Werdenfels, które go zmuszają być nieodstępnym od boku stryja. Z tych powodów nie będzie mógł tak prędko pomyśleć o przesiedleniu się do Buchdorf.

Posiadłość swoją opisywał z najdrobniejszemi szczegółami, jakby chciał mieć w Lily powiernicę i doradczynię we wszystkich planach i projektach ulepszeń rozmaitych, które myśli w Buchdorf przedsiębrać. Wspomniał nawiasem, w sposób nader komiczny, o wściubstwie Arnolda co do przyszłych urządzeń domu i ogrodu. Widocznem było, iż chociaż przyszłość wydawała się Pawłowi tak ciemną i bezcelową, zachwycał się szczerze piękną swoją w Buchdorf rezydencją. Przy samym końcu przypomniał sobie, iż ma świętą powinność być zrozpaczonym! Zwrotem śmiałym nastroił pióro na początkowy ton listu, prawiąc wiele o ciężarze niezmiernym, który duszę jego przytłacza, wstrzymując myśli polot, i nałożył niejako Lily na sumienie, aby odpowiedzią na list jego jak najprędszą raczyła zdjąć mu z serca bodaj cząstkę małą tego ciężaru.

Twarz Anny rozjaśniała się coraz bardziej, w miarę jak list czytała, a gdy papier złożyła, zaigrał nawet około jej ust wielce znaczący uśmieszek. Lily, która razem z nią, stojąc za krzesłem, list oczami przebiegała, wpatrzyła się w siostrę z niepokojem.

— Cóż myślisz o tym liście? Wszak biedny baron jest bardzo nieszczęśliwy?!

— Myślę, iż wkrótce pocieszy się zupełnie — Anna odpowiedziała najspokojniej. — O ile mi się zdaje jest na najlepszej drodze po temu.

— Ja zaś lękam się — Lily główką potrząsła — że tego ciosu nigdy nie przeboleje! Wyznał mi sam przecie, iż nigdy, nigdy o tem nie zapomni, i kto wie, coby się było wtedy stało, gdybym mu była strzelby z rąk nie wyrwała i nie utopiła w fosie, zamek Werdenfels otaczającej!

— A czy wiesz na pewno, że była nabitą? — spytała Anna tonem trochę drwiącym.

— O! czyż się godzi żartować z uczuć najświętszych! — krzyknęła Lily w najwyższem oburzeniu. — Nic-że u ciebie nie znaczy miłość bez granic, ból i rozpacz szczera, w chwili, gdy biedny tracił wszelką nadzieję?! Gdyby mnie tak ukochano...

Nie dokończyła, przestraszona własnemi słowami, a twarz jej szkarłatem spłonęła.

— Nie drwię, chroń Boże! z uczuć niczyich — Anna z powagą przemówiła — jestem tylko silnie przekonana, iż to był przelotny zachwyt, być może na-

der szczytny i nader idealny, i z tego właśnie powodu nie mający racji bytu trwałego, jak wszystko, co jest wysnute z fantazji, a nie opiera się na realnej rzeczywistości. Baron Paweł i ja, tak się w usposobieniu nie zgadzamy, iż nigdy węzeł silniejszy, na życie całe, nie mógł by serc naszych połączyć. Nie potrzebuje jednak wstydzić się, ani zapierać uniesienia młodocianego, którem złożył świadectwo, iż jego serce nie zepsute i zdolne do uczuć podnioślejszych. I ty Lily nie odepchnęłabyś i nie odmówiła serca i ręki mężczyźnie, gdyby ci wyznał, iż przed tobą kochał się idealnie w kobiecie uczciwej. Nieprawdaż?

— Z pewnością! — Lily odrzuciła tak naiwnie, iż to było najlepszym dowodem, jak dalece nie zdaje sobie sprawy z uczuć, budzących się w jej serduszku. — Nie idzie tu o mnie atoli... Nie zabronisz mi przecie pisywać dalej do barona?!

— Jeżeli przyrzekniesz mi solennie, że będziesz unikała schadzek z Pawłem i list każdy mnie pokażesz.

— A jeżeli się do tego zobowiążę, pozwolisz mi pisywać do niego? Anulko, nie bądź tak srogą! Widzisz, jak on dotąd jest niepocieszony, a ktoż, jak nie ty sama, przyczyną jego bolu i rozpaczy?!

Ręce złożone jak do modlitwy, wyciągnęła do siostry z wyrazem błagalnym. Anna otoczywszy ją ramieniem, czule w czoło ucałowała.

— Nie! nie! moja biedna, mała Lily! nie będę srogą ani dla niego, ani dla ciebie! Nie zabiorę mu „promyczka jasnego!“ Możesz na list odpisać, tylko dotrzymaj przyrzeczenia. Kto wie, czy jeszcze kiedy nie zjawi się baron Paweł w Rosenberg, aby ci ustnie opowiedzieć o swojem pięknem Buchdorf.

Lily nie pojęła ukrytego w tych słowach znaczenia. Była przecież gotową przysiądz w każdej chwili, iż Paweł w jej siostrze dotąd na zabój rozkochany. Rzuciła się jednak Annie na szyję z radością i wdzięcznością dziecka niewinnego, a następnie wyleciała jak z procy, aby natychmiast zasiąść do biurka. Bukiet tymczasem spadł na dywan i tam pozostał zapomniany. Młode dziewczę miało teraz myśleć zupełnie o czemś innem, niż o bukiecie i oświadczynach „starego wujcia Freisinga.“

Anna odprowadziła wzrokiem smętnym dziecię uradowane, a usta jej zbladłe bolem tłumionym zadrgały.

— Nie! nie! byłoby okrucieństwem — szepnęła — chcieć stłumić w zawiązku to młode, a tak rzewne, tak szczere uczucie. Może mojej małej Lily przynajmniej zakwitnie szczęście, które mnie nie było sądzone... przy boku jednego z Werdenfelsów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JULIUSZ DONNÉ.

I.

— Czy Pan Juliusz jest w domu?

— Wyszedł przed godziną, polecając mi, bym przeprosił pana, jeśli by nie powrócił na objad. Dostał jakiś bilecik, na który odpowiedział: „zaraz przyjdę.“

— Spodziewam się, że nic ważnego.. Czy był zaniepokojony?

— O nie panie, wyszedł pogwizdując.

— Dobrze, możesz już odejść!

Paweł wyszedł i pan Donné usiadł przy kominku, na którym dogorywało ognisko. Myśl jego widocznie pracowała nad rozwiązaniem zagadki, która go drażniła, a po ściągniętych brwiach poznać można było, iż z niecierpliwością myślał o niezwalczonej zaporze, która niweczyła jego plany. Niekontent i podrażniony poruszał resztki niedopalonych drzew, które chwilowo jasnym wybuchały płomieniem. Na obojętnej zwykle jego twarzy, teraz dziwny malował się upór, chociaż przy bliższem wpatrzeniu, po zaokrąglonych lecz wyrazistych rysach, po oczach dużych i dobrodusznych, przeczuć można było charakter pełen życzliwości, zdolny do poświęceń, przyjaźni, a nawet miłości.

Niecierpliwym ruchem pan Donné rzucił się na oparcie fotelu, na którym siedział i badawczym wzrokiem oglądał otaczające go przedmioty. Pokój, w którym go widzimy, miał poważną i sztywną cechę pracowni; tło jego zajmowała starannie ułożona bibljoteka, naprzeciw okna szeroki dywan, obwieszony bronią wschodnią, kindżałami, strzałami i pięknie rzeźbionemi puklerzami, zajmował całą ścianę; jedno okno duże, wychodzące na ogród, w lecie dużo światła dostarczać musiało, a cztery gipsowe rzeźby, stojące po rogach, urozmaicały jednostajność urządzenia; w końcu pod oknem duży stół zdawał się być centrum życia pracy, dla którego poświęconym był ten pokój. Przepełniony książkami, rozrzuconemi w interesującym nieładzie, oraz innemi do ciągłego użycia potrzebnemi przedmiotami, zdradzał, że zaledwie przed chwilą mógł być opuszczonym. Tu pióro jeszcze mokre, tam ołówkiem założona książka, niepozwalały wątpić o pracowitości tu zamieszkującego badacza.

Powoli rysy p. Donné nabierać zaczęły zwykłego wyrazu, uśmiech powrócił mu na lica, widocznie swobodniej oddychał, bo był przecież w ulubionym gabinecie syna, którego ubóstwiał. Wdowiec od lat 15, nieożeniony powtórnie jedynie dla miłości Juliusza, dla którego żył cały i w którym widział doskonałość, poił się teraz przyjemnością oddychania jednem z nim powietrzem; powiedzieć też trzeba, że nigdy pewnie, niczyje wnętrze niebyło tak ukompletowane oraz tak absorbowane drugą istotą, jak pana Donné jego synem.

Młodość p. Donné była pracowita i trudna. Rodzice jego, niemający majątku, wysłali w go 18 roku do Paryża, dla ukończenia studjów prawniczych, w nadziei, że później znów powróci do nich, ale okoliczności oraz zamiłowanie ich syna do raz obranej drogi, zdecydowały inaczej. Powab życia umysłowego, jakiego zaznał w Paryżu, przemawiał do jego żywej inteligencji, a dobra wymowa i świetnie ukończone studja sprawiły, że otworzywszy adwokackie biuro, po ciężkiej pracy doszedł do sławy, która mu liczną zapewniła klientelę. Po przybyciu swem do Paryża, p. Donné doznał jakby pewnego olśnienia, gdy poznał istniejące tam życie literackie. Nieznane mu ono prawie było, więc nigdy dotąd pragnienia obudzić niemogło, lecz idąc za popędem zdrowego rozsądku poznał łatwo, że powołanie samo bez przygotowawczych nauk, oraz potrzebnych innych wielu rzeczy, wystarczyć nie może, więc chwycił się praktyczniejszej branszy, żywiąc żal, że nie dosięgnął tego, co było dlań ideałem wiedzy. Wtedy to powziął wobec siebie samego jakby zobowiązania, że jeśli go Bóg kiedyś synem obdarzy, wychowanie jego będzie zupełnie kompletnem, że czując sam braki wielkie, potrafi wpoić w syna zamiłowanie wiedzy i usposobi jego umysł do wszelkiej najwznioślejszej pracy.

Trzeba mu też przyznać, że najzupełnej dopiął zamierzonego celu! Dziwnie bogato uposażona była natura jego syna Juliusza Donné; serce, umysł, dusza, wszystko było harmonijne, szlachetne, piękne, żywe, pojmujące wszystko i umiejące się też do wszystkiego nagiąć. Ojciec nie nalegał nań, by wcześnie obrał sobie zawód, bo pewność, że każda droga stoi przed nim otworem, zadawalniała obydwóch. Cokolwiek by wybrał, wszędzie zdolnościami swemi na pierwszem stanąć musi miejscu, a wtedy, gdy raz imię jego sławnem będzie, któż mu zabroni posunąć o rękę posażnej panny, która chętnie dzielić zechce sławę męża swego. Zresztą on, jako ojciec, czuwać ma prawo, by wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Cóż, kiedy w życiu Juliusza, była jakaś nieodgadniona tajemnica, której nadaremnie starał się dociec pan Donné, a to: iż o małżeństwie mówić sobie nawet nie dał! On, taki domator, spokojny i łagodny, czyż nie miałby zapragnąć nigdy towarzyszki życia, z którą dzieliłby się każdą myślą i uczuciem? Czyż nie czuł braku tej istoty, którąby rozjaśniła trochę ponury horyzont domowy? Nie, to niepodobna! A przecież nadaremnie od tak dawna podsuwa mu ojciec myśl żenienia się z córką swego przyjaciela, młodą, ładną i posażną! Zwykłym, wymijającym sposobem, zbywa ojca niewyraźnemi półsłówkami, odkładając ziszczenie tych planów do nieskończoności, a przecież pan Donné nie tracił nadziei, że otrzyma kiedyś pozwolenie syna; przyszedł on bowiem do tego wieku, w których miłość ojcowska pragnęłaby rozszerzyć się i rozdrobnić: marzeniem jego było mieć wnuki, a przecież życiem swem, pełnem abnegacji, zasłużył na to, by syn dogodził tej jego słabostce.

Myśląc tak wstał i przechadzał się po pokoju, przyglądając się temu, co go otaczało. Raptem zatrzymał się przed biurkiem.

— Kto wie — rzekł do siebie w duchu — czy zagadka ta nie leży w liściе, który dziś otrzymał. Wszak wyszedł rozpromieniony! — i nerwowym ruchem przyciągnął fotel, szukając między stosami papierów bilecika małego, który podejrzanym mógłby się wydać. Lecz nadaremne były jego usiłowania. Przekładał kartkę po kartce i nic nie znajdywał, coby uwagę zwrócić mogło.

Zniecierpliwiony chciał już zaprzestać poszukiwań, gdy oko jego padło na białą ćwiartkę papieru, wychodzącą z niedomkniętej szuflady. Juliusz widocznie wychodząc, zapomniał ją zamknąć, a przekonanie, iż jedynie dla dobra syna pragnie odkryć tajemnicę, uspakajało jego skrupuły i ze sposobności korzystać postanowił! Gdy już bez namysłu gwałtownie wyciągnął szufladę, uderzająca woń rozeszła się z niej. Zdawało się, że wszystkie zapachy bogatej we florę wiosny były tam nagromadzone. Kilka pakiecików starannie opieczętowanych leżało koło siebie, a na wierzchu parę otwartych listów, kobiecą pisanych ręką, do których nieśmiało pochylił się pan Donné. Czyżby Juliusz miał mieć kochankę? Nie, to prawie niepodobne! lecz i o tem dowiedzieć by się warto. Słowa wyczytane na początku listu: „Mój najdroższy Juliuszu!“ utwierdziły go w podejrzeniu, lecz dalej czytać nie śmiał, bo czyż miał prawo przenikać ich tajemnice miłośne? Na to uczciwość jego się wzdrygała, a bez tego, jakże się dowiedzieć o imieniu tej, którą kochał? Niepewność ta dręczyła go w chwili, gdy dojrzał szkatułeczkę ponsową, safianową, która ciekawość jego drażniła; otworzył ją w końcu nieśmiało i w niej dojrzał profil fotografji pięknej pani Valmor! „Któżby się spodziewał!“ — zawołał pan Donné, oglądając się, czy nie ma kogo, z kim by się tem odkryciem mógł podzielić, tak duma ojcowska była połechtana tą świetną zdobyczą syna. Zamknął szkatułeczkę i zamyślony widział przed sobą tę postać uroczą, szykowną i dumną kobiety, której życie niesplamione dotąd, którą znał oddawna i której nawet złośliwość ludzka tknąć nieśmiała. Teraz to kochanka jego syna!

Że piękną była, tego zaprzeczyć nie można. Profil jej przypominał dziewice średniowieczne, spotykane na obrazach.

Włosy popielate, układały się wdzięcznie koło czoła, okalając je harmonijnie, a oczy niebieskie, wesołe i śmiałe, stanowiły największy jej urok; na ustach w końcu taki wyraz spokoju i ufności, jaki jedynie znajdować się może u osoby, której dusza czysta i święta coś anielskiego musi mieć w sobie!

I rzeczywiście, jedynie temu anielskiemu wyrazowi zawdzięczać mogła pani Valmor, że ją dotąd omijały kompromitujące hołdy mężczyzn, gotowych zawsze do wyzyskiwania trudnej sytuacji kobiety młodej, ładnej i źle wyszłej zamąż, powiedzieć bowiem trzeba, że wyszła za człowieka starego i niedołężnego, jedynie dla

zapewnienia bytu matce i siostrom, rezygnując z własnego szczęścia, do którego przecież równe miała prawo. Lecz zrobiła to poświęcenie w tak naturalny i pozornie obojętny sposób, że nie przyszło nikomu na myśl zapytać ją nawet, co ją to kosztować mogło? Gdy już jednak raz kroku tego dokonała, utrzymywała wszystkich bliższych i dalszych w przekonaniu, że osiągnięte bogactwa najzupełniej ją zadawalniały, a spokój pozorny nie pozwalał wątpić, że jakkolwiek w pożyciu tem pozbawiona wszystkiego, co moralnie zadowolnić ją mogło, nie znała tego braku i z zupełną swobodą godziła się z swem przeznaczeniem.

A przecież Zuzanna Valmor stworzona była na to, by kochać. Spragniona miłości, w którą by całą siebie wlała, czekała chwili, w której cały swój ogień, dotąd tłumiony, w miłości dozwolonej, obopólnej, roztoczyć by mogła. Egzaltowana do pewnego stopnia, pragnęła widzieć innych, żyjących jej szczęściem wtedy nawet, kiedy ona cierpi i boleje, jednem słowem pragnęła się poświęcić, by tem okupić szczęście drugich. Lecz jakżeż wielka cząstka szczęścia tego, powinna się była w zamian dostać jej w udziele!... Powiedzieć o niej można, że należała do tych istot, którym chrześcijanizm podany w formach cywilizacji 19. wieku, dał gust do tych nadziemskich roskoszy, które sprawiają, iż cierpiąc nieokreślone męczarnie moralne, cieszą się i piją słodycz doznanego męczeństwa. Juliusz spotykał wprawdzie Zuzannę za jej panieńskich czasów, ale to nadzwyczajne odosobnienie, jakie w towarzystwie francuzkiem panuje pomiędzy mężczyznami a panienkami, niedało mu nawet sposobności poznania tej natury szlachetnej i kochającej, gdy się zaś ją cenić nauczył, niebyła już wolną; nieumiejąc jednak oprzeć się urokowi, jaki roztaczała, pozwolił pomału rozwijać się przyjaźni, która ich łączyła, aż do chwili, w której poznał, że przyjaźń ta w gorącą i namiętną przemieniła się miłość! Przerażony tem odkryciem, zrozpaczony niem prawie, postanowił walczyć do upadłego, lecz na nic się to przydać nie miało! Czuł, że kocha kobietę dumną i zacną, która zapanowaćby potrafiła nad najprawdziwszą i najgorętszą namiętnością i że równie roskosze wzbronione miłości ukrytej, jak jawnej i legalnej, były dalekiemi od niego.

Pewność ta, że opanować tego przywiązania nie potrafi, odbierała mu siły do walki; czuł, że już na zawsze pozostanie niewolnikiem tej miłości, która ani jednej żyłki w jego umyśle i sercu niepozostawiła nietkniętej. Małżeństwo było dotąd jego ideałem, a osamotniona starość ojca jego, przyczyniała się do przywiązania go do tej myśli, która prócz tego miała urok nieznanego owocu. Żył też w przekonaniu, że los połączy go z kobietą, którą szanować i kochać zarazem potrafi, a ona stanie się wymarzonym jego ideałem. Ponieważ jednak taka nie stanęła mu dotąd na drodze życia, przeto nie zawiązywał nigdy krótkich, chwilowych znajomości, a przypadek dziwnie mu dopomagał w tej sprawie. Napróżno więc szukalibyśmy cienia nawet rozczarowania lub zawiedzionych nadziei do chwili, w której Zuzanna Valmor zapanowała w całem jego jestestwie. Nie myślmy jednak, że oboje oszukiwał tytuł przyjaźni pozornej, o nie! nie zrobili sobie wprawdzie żadnego wyznania, lecz czuli dobrze, że ta chęć ciągłego widzenia, potrzeba ciągłych wynurzeń, wymiany myśli i t. d. która w coraz ściślejszy łączyła ich stosunek, nietylko miano przyjaźni nosić mogła. Pewnego też razu, gdy po raz pierwszy Juliusz po imieniu nazwać się ją ośmielił, ona zakazała, lecz gdy widziała, że również jak dawnej uległy i pełen uszanowania, sama „Juliuszem“ nazywać go zaczęła, kładąc w to słowo, dźwięk jego, całą pieszczotę serca swego.

Lecz powróćmy do pana Donné, który zatopiony w myślach o pani Valmor, strasznym był dręczony niepokojem, że syn jego, wyzyskując niedołęztwo męża, niezdolnego pilnować dobrej sławy żony, zaangażował się w związek, który na przyszłość jego wielki wpływ mieć może. Myślał tak ciągle, wyszukując sposobu do zerwania go, gdy przy każdym znajdowała się trudność nie do zwalczenia. Jakże doprowadzić Juljusza do zwierzeń, kiedy dotąd z tą tajemnicą tak starannie się umiał ukrywać? Przywiązany do ojca swego, najlepszy syn, wyrobił sobie przecież niezawisłą wolę i mało dawał sposobności do wpłynięcia na siebie jakąkolwiek radą, a przecież o niedyskrecji jego wiedzieć nigdy nie mógł. Z tej strony też żadnej nadziei mieć nie można było i pan Donné zrobił postanowienie szukania gdzieindziej żądanej sposobności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

Czuł się przygnieciony nagłem odkryciem. Na tem więc kończyły się obłudne stryja perory, o zepsuciu dzisiejszego stulecia, o zlaniu się dwóch światów odrębnych, o coraz większej przewadze i znaczeniu kokotek w społeczeństwie zgangrenowanem. Baron wierzył widocznie tylko w stosuneczki wygodne, spokojne, pod cudzą firmą i przy cudzym kominku. A pani de Gouix?! Cóż miał myśleć o jej wielkiem nabożeństwie, o długich modlitwach, o tem Oratorjum, o którem wspomina posyłając ku niebu spojrzenia w ekstazie tonące?!

To, co można było wziąć za przesadzony trochę żal Magdaleny nawróconej, było poprostu parawanikiem, osłaniającym dziwne obrazy...

Oprzytomniał wreszcie. Czuł tylko niesmak, jak po gwałtownem przepiciu... Bo też jednym tchem połknął cały skandal!... Co robić teraz?... Przypadek niefortunny popchnął go tam, nie śmiał atoli wejść do cieplarni. Bał się, i słusznie, śmieszności, która jak błoto uliczne obryzguje świadków mimowolnych pew-

nych scen i pewnych obrazów. Wstrzymywały go zresztą skrupuły i przyzwoitość człowieka dobrze wychowanego i delikatnego.

Wrócił zatem, prawie po omacku, do salonu słabo oświetlonego lampami w mlecznych kulach. Pani de Gouix lubiła ten półcień. Przyćmione blaski opalowe szkła mlecznego, robiły ją bledszą i nie dozwalały badań nadto szczegółowych, nad tem, co u niej było naturą, a co w dziedzinę sztuki przechodziło.

Na progu od mniejszego gabinetu zatrzymał się, uderzony innym zupełnie widokiem. Tu dotąd lamp nie zapalono. Matylda stała na balkonie, pół ciałem ku drzwiom otwartym zwrócona, a profil jej delikatny odbijał na tle nieba szarzejącego, jakby popiersie medalu lub czysty i piękny rysunek białej camei, rzniętej w ciemnym onyksie. Było to zupełne przeobrażenie. Znikło dziecko niezgrabne, w spodniczkach za krótkich, a rękach za długich, z którymi rady sobie dać nie może...

Oparty o drzwi salonu, Raoul widział dokładnie, jak pierś Matyldy podnosiła się i opadała, a palce u ręki, ściskając balustradę, drgały nerwowo. Usta na pół otwarte szeptały coś tajemniczego, niby rozmowę z sobą niewidzialną, lub słowa rzewnej modlitwy. Przypadek dobrze mu usłużył. Aż do tej chwili uważał za fantazje romantyczne owo wpatrywanie się w gwiazdy młodych dziewcząt, owo wynurzanie się dusz czystych i rozmowy tajemne z niebem, o których tyle nabredzili poeci, jako o spójni ideałów sfer wyższych, z porywami uczuć więcej ziemskiej natury.

Teraz przestał wątpić. Otaczała go atmosfera pełna świętych uniesień, czar dziwny opanował. Pod wpływem tej chwili i tego otoczenia, zapomniał w jakim celu przyszedł właściwie, jaką odkrył tajemnicę i jak nikczemna, nędzna obłuda, tworzy stronę odwrotną i ujemną, tego zjawiska czystego i uroczego, które ma przed oczyma.

Ogień czuł w żyłach, siła niewidzialna ciągnęła go do małej dzieweczki, kłam zadając pierwotnemu postanowieniu. Sceptyk pełen doświadczenia wziął jednak górę nad młodym zapaleńcem. Czyż dla uniesienia poetycznego, dla tego, że go nagle owiało tchnienie idealne, ma jeszcze pogorszyć położenie i tak dość fałszywe? Nie lepiej-że uciec po prostu, oszczędzić sobie niemiłych eksplikacji, napisać zresztą? Cofając się za próg dyskretnie, zdradził lekkim szelestem swoją obecność.

Matylda się odwróciła.

— Pan Raoul!...

Poprawiła się natychmiast:

— Pan de Frézel...

Zawsze to dziwne pomięszanie i to drżenie w głosie... Usta blade drgały dotąd modlitwą niedokończoną, a dłoń cisnęła wstydliwie serce bijące za silnie i zdradzające niedyskretnie tajemnicę niewinną jej lat ośmnastu. Raoul bąknął:

— Pani sama?... Jakim że to cudem?...

Przechyliła główkę, figlarnie się uśmiechając.

— Miss Ellen zasnęła szczęśliwie... Ale pójdę mamę poszukać... Musi być w cieplarni...

Podeszła ku drzwiom. Raoulowi serce się ścisnęło. To, co miało nastąpić, wydało mu się straszliwą profanacją.

Jeżeli przestąpi próg cieplarni, nie schwyciż na gorącym uczynku pary kochanków przestarzałej, a nad miarę roztkliwionej tą pierwszą wonną, ciepłą nocą wiosenną? Nie będzież świadkiem hańby podwójnej, matki żyjącej i ojca umarłego? Jak przeszkodzić temu świętokradztwu? W obec niebezpieczeństwa Raoul zapomniał o sobie, o swoich wątpliwościach i wstrętach, składał broń jednem słowem i wyrzekł się argumentów przed chwilą w umyśle nagromadzonych.

Aby uratować Matyldę, stawał się Raoulem lat młodocianych, pełnym zapału szlachetnego, słuchającym li głosu serca, łatwym do wzruszenia i gotowym do poświęceń bezinteresownych.

Rzucił się naprzód z żywością, i zatrzymał młodą dziewczynkę.

— Matyldo! posłuchaj mnię... słówko... jedno słówko!..

Nie cofnęła się, nie wyrwała rączki z dłoni Raoula, czuł tylko jak drży niby ptaszyna uwięziona.

Zdawała się lękać zmroku. Pociągnęła go ku środkowi salonu, gdzie lampy jasne koło tworzyły.

— Cóż mi pan chcesz powiedzieć?

Spojrzała mu w oczy z uśmiechem nerwowym. Wzrok jej był błędny, w szeroko rozwartych źrenicach malowała się taka trwoga śmiertelna, iż Raoula dreszcz przeszedł... Zaczynał się dorozumiewać... Taka czułość namiętna obok takiej czystości!... O nim więc myślała przed chwilą, tajemnicę swojej pierwszej miłości gwiazdom spowiadając... Był sam w dziwnym szale... Właśnie była pora po temu, aby namyślać się i kunktować!... Serce biło mu nadto gwałtownie, aby nie miało zagłuszyć podszeptów zimnego rozsądku...

— Kocham cię Matyldo!...

Młode dziewczę odżyło! Trwoga, pokrywająca bladością jej twarzyczkę, zamieniła się w rumieniec szkarłatny, a firanka rzęs ciemnych przykryła dyskretnie promień najwyższej radości, z ócz strzelający. Był to kwiat mimozy, stulający listki pod dotknięciem najlżejszem. Spokojnie i z zupełną ufnością oddała nawzajem uścisk serdeczny dłoniom Raoula.

Gdy baron i pani de Gouix wrócili wreszcie do salonu, duet niemy rozwijał się w najlepsze. Dłonie były dalej splecione, a źrenice młodej pary tonęły jedne w drugich, zamglone roskosznem upojeniem. Baron uśmiechnął się dobrodusznie.

— Hm! hm! Te dzieci kochane! Podczas gdyśmy rozmawiali o ich przyszłem szczęściu, oni we dwójkę lepiej się jeszcze tem zajęli...

Takim sposobem zaręczyli się Raoul i Matylda. Obok dwojga starych kochanków, wstręt budzących niecnym stosunkiem i niejako w skutek tego tragi-komicznego odkrycia, wystrzelił i rozkwitł nagle jak kwiat aloesu, stosunek czysty, piękny, między dwojgiem serc

młodych, które dotąd nie mogły się jakoś porozumieć.

Stryj uśmiechał się czule i z powagą ojcowską, pani de Gouix starała się przemienić w uniesienie miłości i troskliwości macierzyńskiej ostatnie błyski namiętne, które nie całkiem jeszcze zagasły w jej czarnej źrenicy...

Raoul znowu się zawahał. Wprawdzie uśmiechało mu się szczęście w postaci Matyldy, czyż jednak to szczęście, nie miało plamy, niby owoc piękny a w środku nadgniły? Na chwilę narzeczona wydała mu się zupełnie podobną do owej dziewicy z ballad niemieckich, która wstaje z łoża śmiertelnego na odgłos muzyki, doroczny odpust we wsi zapowiadającej, przechodzi pomiędzy tańczącymi z okiem płomienistem, z ustami lubieżnie uśmiechniętemi, ale z robakiem grobu na liczku puszystem...

Nie długo trwało to przywidzenie. Nie czas było się cofać dla jakichś dzikich urojeń. Skłonił się nisko przed panią de Gouix, gdy ta rękę do niego wyciągnęła, mówiąc głosem drżącym:

— Mój synu!

V.

KROK OSTATNI.

Raoul de Frézel był od dawna wieloletnim, należał zresztą do pokolenia nienawidzącego wszelkich dzieciństw i nagłych porywów egzaltowanych, które wprawdzie niektórzy nazywają szlachetnym zapałem, ogół zaś ludzi pospolitych i mających wstręt do poezji mianuje po prostu niepotrzebnym kramem! Gdy wyszedł z pałacu de Gouix innym zupełnie niż wchodził, odebrawszy przyrzeczenie a zostawiając słowo, wiążące go nawzajem, pierwszym jego popędem było pójść do klubu, nie tyle, aby oswoić się z myślą o szczęściu, ile w chęci wytrzeźwienia się z upojenia wiosennego, które opanowało go tak nagle i tak zdradziecko.

Usiadł do partji baccarata. Gra w karty tak pociąga mężczyzn czemś wyłącznie zajętych, jak konna jazda upaja kobiety nerwowe. Jest to sposób jedyny zabicia czasu i jednocześnie środek uśmierzający rozstrój, który w sobie czujemy. Do trzeciej rano Raoul wygrał sto luidorów i uczuł początki migreny. Wstał od stolika, wyszedł do przyległego gabinetu i w oknie otwartem zapalił cygaro. Niebo było szare, gdzieniegdzie tylko przedzierało się przez chmury światełko gwiazdki migocącej.

Raoul znalazł nieboskłon nader brzydkim, podobnym do starej, wyszarzanej i podartej kortyny, przez której dziury widać kinkiety zakulisowe. Scenerja była zupełnie odmienną, niż w owej chwili roskosznej zmroku, w pałacu de Gouix. Ta zmiana jednak była mu wielce pożądaną. Pod ścianą, rozciągnięty na kanapie, spał jego przyjaciel Maks, snem ciężkim i niespokojnym człowieka przepitego lub do nitki zgranego. Głośne jego chrapanie dopełniało swoją realistyczną nieharmonją to niebo brudne jak podszewka wypłowiała. Bratanek barona de Frézel mógł zrobić rachunek sumienia z całym spokojem, bez wrażeń i przeszkód na nerwy działających. Gdy skończył cygaro i monolog, który z sobą prowadził, myślał, iż już wie wszystko i ze wszystkiego potrafi się wytłumaczyć.

Nie! On błędu nie popełnił, nie uległ uniesieniu dziecinnemu, wstrzymując Matyldę na progu salonu! Nie poświęcił się jak błędny rycerz średniowieczny dla szczęścia i ratowania ułud niewiniątka. Trąciło by to nadto czułostkowością Troubadura.

— Dobre w romansach... — mruknął — lub w czułem ugrupowaniu na zegarach Rococo.

W pierwszej chwili myślał istotnie, iż zasłużył na wielką nagrodę Montyon. Od czegoż jednak był dzieckiem swojego stulecia i miał doświadczenie za dziesięciu! W gruncie, zaślubienie Matyldy było nie tylko czynem szlachetnym ale również doskonałą spekulacyjką. Po odkryciu w cieplarni trzeba było czemprędzej zerwać mosty za sobą. Miał dochodu około pięćdziesięciu tysięcy franków, co zaledwie jemu samemu wystarczało na utrzymanie stosowne, nie mógł zatem zrzekać się lekkomyślnie kapitałów stryja, które miały kiedyś potroić jego majątek

Skoro zostało udowodnionem, jak czułe węzły łączyły barona z hrabiną, byłby z pewnością nie zaniedbał poczynić znacznych legatów na korzyść Matyldy. W tych warunkach nic dziwnego, że projekt jej małżeństwa z bratankiem tak mu się uśmiechał, pozwalał uświęcić niejako przywiązanie do pupilki, nie czyniąc krzywdy najbliższemu we własnej rodzinie. Był to kompromis pomiędzy głosem serca i głosem sumienia, które w nim niezawodnie walkę zaciętą toczyły.

Zażegnał więc Raoul wielkie niebezpieczeństwo, decydując się wreszcie na ten związek. Jeżeli rezygnacja jego przybrała na chwilę pozory uniesienia namiętnego i doszła prawie do bohaterstwa, co mogło go skompromitować i ośmieszyć w oczach pozytywistów, tem gorzej dla nich, jeżeli dają się łudzić pozorami! On miał czyste sumienie i pewność absolutną, iż postąpił jak przystało na człowieka z drugiej połowy dziewiętnastego stulecia, na człowieka stawiającego najwyżej interes i któremu się nie śniło, chroń Boże! aby dało się pogodzić dwa pojęcia tak różnorodne, jak miłość i małżeństwo. Ah! wiosna myślała, iż dał się złapać jej urokowi! Wiedział on dobrze, dla czego wpada w jej sidła! Dla tego, że tak interes nakazywał i basta!

To przekonanie dało mu noc spokojną i dobry humor po przebudzeniu. Gdy jednak zamawiał bukiet nieodzowny, który do dnia ślubu miał codzień posyłać pannie de Gouix ogrodnik będący w modzie, cieniując takowy umiejętnie, zwyczajem francuzkim, od koloru białego, aż do kwiatów purpurowych w wilją ślubu, zadumał się głęboko nad nowym kłopotem. Rozdział pierwszy był tak ognistym!... Jak tu przyczepić do niego ciąg dalszy, zimniejszy i rozsądny, aby całość nie wyglądała połataną? Wdrawdzie nic pra-

wie sobie nic powiedziano nawzajem, czyż jednak milczenie w takim razie, nie jest częstokroć najwymowniejszem?... Matylda tak się zdawała wzruszoną!.. Jak tu się zdobyć na czułość równej wartości?

Zakłopotanie Raoula nie trwało długo. Przez cały przeciąg jego konkurów, nie znalazł sposobności do rozmowy poufnej z Matyldą. Mnożył ilość wizyt i bukietów, rozmowa kwiatów atoli jest bądź co bądź monologiem, a podczas odwidzin krótszych czy dłuższych, były zawsze nieodstępnemi miss Ellen, lub pani de Gouix, nie dopuszczając żadnych czulszych wynurzeń. Pozwalały zaledwie na całkiem pospolite grzecznostki, przez świat wielki tolerowane. Raz tylko wieczór udało się Matyldzie szepnąć mimochodem Raoulowi:

— Wyproś-że pan przecie dla mnie suknię długą!..

Nie była to bynajmniej sprawa łatwa, podjął się jej przecież stryjaszek i szczęśliwie przeprowadził. Matylda ukazała się wreszcie w sukni przyzwoitej. Raoul był z tego wielce zadowolony. Wziął ten pierwszy wypadek za dobrą wróżbę. A więc przedłużył w rzeczy samej spodniczki biednej, udręczonej dziewczynki! Nie tylko dogodził sercu Matyldy, ale po trochę także jej próżności i dumie panny dorosłej. Ta rola zdawała mu się łatwiejszą do odegrania.

Zresztą wszystko mu się uśmiechało. Stryj otworzył kredyt nieograniczony, co do wydatków znacznych a niezbędnych na podarki zawarte w Corbeille des noces. Zastrzegł sobie przedewszystkiem, żeby chroń Boże nie obdłużał majątku w ziemi, który tylko co stryj był oczyścił. Pomoc była mu nader pożądaną. Za jednym zachodem postanowił prosić jeszcze o coś stryja. Szło tu o skrócenie ile możności podróży poślubnej. Ta wędrówka przymusowa we dwójkę, przerażała bratanka pana de Frézel. Co robić w takiem straszliwem sam na sam!...

Miesiąc miodowy jest zwykle przepaścią, pochłaniającą miłość małżonka i najbardziej zakochanego. Raoul nie chce tej próby ogniowej. Wyobrażał sobie takie fatalne sam na sam, rozmowę bez końca z dzieckiem! Po co zresztą jechać? Że moda tego żąda? Można przecie tak się urządzić, żeby to flirtowanie przymusowe trwało jak najkróciej.

Wniosek swój poprzedził pytaniem, które mogło jak to mówią: wysadzić z siodła barona.

— Czy wierzysz stryjaszku w miłość podróżującą?.. w miłość włóczącą się, zamiast żeby miała ścielić sobie gniazdko stałe?

Baron wahał się z odpowiedzią.

— Mój Boże! nie mam pod tym względem zdania wyrobionego... Myślę, iż miłość w sercach się gnieździ i tam jest w domu... Para zakochana czuje się wszędzie samą, bo widzi li siebie nawzajem...

— Tylko nie w pociągu kolei żelaznej... przypuściwszy, że zostawią nas samych w wagonie... a choćbyśmy byli we dwójkę na cały pociąg, są palacze, konduktorowie, urzędnicy na każdej stacji rozkazy wydający i świszczący przeraźliwie. Jakże to można nazwać samotnością!... Czy po hotelach może ją szukać? Te pokoje nieznośne, monotonne, bez sensu, bez żadnego znaczenia na pozór, a których ściany, gdyby mogły przemówić, ileż by miały scen drastycznych i wstrętnych do opowiadania! Nie stryjaszku! dla mnie wydaje się to profanacją, grobem miłości, rozwożenie pierwszych wspomnień poślubnych po dziurach hotelowych!

Baron wzruszył ramionami.

— Warjat z ciebie skończony!... Ale cóż! jestem tak słabym, iż sprzeciwić ci się w niczem nie umiem! Szukajmy więc coś pośredniego .. Dwa tygodnie w zamku de Gouix niedaleko Orleanu... tyś na wsi nie urządzony... Podejmuję się przeprowadzić tę zmianę w programie z panią de Gouix..

Wielki ciężar spadł z serca Raoula, gdy i ta druga sprawa została nie mniej szczęśliwie ubitą, jak kwestja tycząca się długich sukien.

Kontrakt ślubny podpisywano wieczorem, w obszernej galerji pałacu de Gouix, którą przemieniono na salę balową. Zgromadziła się licznie owa publiczność specjalna, która zwykła otaczać zapaloną pochodnię Hymenu w domach arystokratycznych, niby rój motyli różnobarwnych, krążący obok lampy jasnem światłem płonącej. Było więc najprzód dwudziestu sześciu towarzyszy klubowych Raoula, przyjaciół od serca... a raczej od worka, zwołanych jako zastęp dekoracyjny.

Wystąpili wszyscy we frakach z olbrzymiemi wyłogami, w kamizelkach zapiętych na jeden guziczek mikroskopijny, kołnierz od koszuli był okrutnie wygorsowany, monocle w oku prawem, włosy po dziecinnemu z grzywką na przodzie, mina gęsta i rozpromieniona, jak u ludzi, których szczęście szalone u płci pięknej przeszło niemal w przysłowie i którzy przestali już gonić za sukcesami, tylko starają się przetrawić w spokoju podboje poczynione.

Obok tej młodzieży, rozwalającej się z nonszalancją po kanapach i fotelach, z ustami lubieżnie uśmiechniętemi i z kwiatem purpurowym w dziurce od fraka, znajdowali się poważniejsi przyjaciele barona de Frézel. Kamizelki białe, włosy szpakowate, naczesane naprzód głowy, a przez które dość przeźroczysto łysinki przebijały, w dziurce od fraka ponsowa rozeta, elegancja sztywna, sztuczna, wykrochmalona i ugorsetowana, staruszków, którzy gwałtem chcą jeszcze uchodzić za armię czynną i wojującą, a nie za inwalidów w odstawce.

Pani de Gouix zaprosiła ze swojej strony całe Faubourg Saint-Germain. Jej świat był jeszcze więcej arystokratycznym, niż kółko barona, żadnej mięszaniny, żadnych żywiołów mieszczańskich, „brylanty czystej wody bez plamki!“ — jak żartował nieraz baron de Frézel.

Mężczyźni jak i kobiety mieli płeć bladą i białą, ręce i nogi małe, wąskie, rysy delikatne, usta dumnie naprzód wydane, uśmiech na nich lekko sarkastyczny, ułożenie poważne bez sztywności, strój elegancki bez

przesady, dystynkcja w każdem słowie i w każdym ruchu. Kobiety trzymały się wprawdzie mody, wybierały jednak to tylko, co nie raziło ekscentrycznością. W sukniach ciemnych, ubranych skromnie, ale za to koronkami prawdziwemi, wartości bajecznej, wyglądały obok innych dam, błyszczących z daleka wszystkiemi tęczy barwami, jak kwiaty w cieniu wybujałe i rozwinięte, które chociaż olśni je nagle blask słońca, schylają skromnie ku ziemi kielichy i nie tracą swoich bladych kolorów.

Ślub właściwy w kościele, odbył się z wielką prostotą. Matylda była wzruszona w samą miarę, bez dzieciństwa i niesmacznej przesady. Podczas gdy wróciwszy do pałacu, młoda mężatka strój zmieniała, aby wyjechać natychmiast, pani de Gouix wziąwszy zięcia pod ramię, pociągnęła go do małego saloniku.

— Ah! synu drogi! Jakżem szczęśliwa, że mogłam złapać cię na chwilę!

Upadła na sofeczkę na pół omdlewająca.

— Jestem złamana!... Tyle trosk, tyle zachodu!... Widzisz czem jest życie? Wieczne udręczenie dla kobiety samotnej!... Biedna Matylda!...

— Ależ droga pani — Raoul starał się minę serjo zachować. — Matylda tylko co ślub wzięła i mam nadzieję, iż tak prędko wdową nie zostanie!

— Zapewne, zapewne! — jęknęła boleśnie hrabina. — Chociaż... któż to może przewidzieć!... Pan de Gouix zdawał się na sto lat zbudowany! Myślałam, iż złote wesele będę z nim obchodziła!... Tymczasem, nieszczęsna namiętność do polowania... zawianie... paraliż!... O mój Boże! co ja wycierpiałam!... Ale przynajmniej dopóki będziesz przy niej drogie dziecię, przysięgnij mi czuwać nad moją białą gołąbką, nad tym aniołkiem bożym, z czułością bohaterską!..-

— Uspokój się kochana pani!... będę bratem dla niej... ojcem nawet, jeżeli tak sobie życzysz...

Pani de Gouix aż podskoczyła z radości, porwała go za szyję i w czoło ucałowała.

— Tak, tak! Bądź jej ojcem o ile możności... ojcem, przynajmniej czas jakiś... Bo widzisz... nie mogę pojąć, nie mogę sobie wyobrazić tę biedną moją dziecinę!... Oh! ty mnie rozumiesz!... masz uczucia tak rycerskie, tak delikatne... Nie! takie dziecko! gdyby jej tak przyszło rodzić, karmić, być matką b o b a małego!... Trzeba łaski Bożej nadzwyczajnej tym biednym kobietom, aby nie upadły pod ciężarem tylu trosk, tylu cierpień!... Przygotuj ją do tego wszystkiego synu kochany, pomalutku... przez lat kilka...

Kamerdyner przerwał rozmowę, pytając hrabinę o jakiś rozkaz. Zerwała się szybko.

— Dzięki ci! dzięki stokrotne!... Teraz mogę być spokojniejszą!...

Raoul uśmiechnął się złośliwie, sam zostawszy.

— Matką jest aż nadto troskliwą!... ale widocznie nie pilno jej zostać b a b u n i ą!

VI.

PRZEJAŻDŻKA POŚLUBNA.

Teorja oszczędzania Matyldzie zbytnich czułości w stanie małżeńskim, którą pani de Gouix nie wzdragała się rozwinąć przed zięciem od niechcenia, ze śmiałością wielkiej damy, a z gadatliwością trochę pospolitą, pojawiającą się w kółkach arystokratycznych, równie jak mody ekscentryczne, pożyczone od D e m i-M o n d u, zgadzała się doskonale z planem ułożonym przez Raoula, co do postępowania z żoną w przyszłości. Wytrzeźwił się zupełnie z upojenia, które nim zawładło w ów wieczór pamiętny, gdy nagle oświadczył się Matyldzie i jej jasną główkę uczuł tulącą się z całą ufnością do swojej piersi. Był najpewniejszym, iż tego ranka, w kościele zapełnionym tłumem ciekawych, ksiądz złączył parę dobraną podług wszelkich reguł kodeksu wielko-światowego; chłopca wesołego, trochę wisusa, który chętnie zresztą zawinął do portu... — wszak ten k o n i e c jest p o c z ą t k i e m najczęściej dla mężczyzn życia przyjemnego podwójnie, pełnego burz i wypadków miłosnych — i poczciwego niewiniątka, dziewczynki uszczęśliwionej, iż mogła wlec po kamiennej posadzce kościelnej ogon na dwa metry długi, od białej sukni atłasowej. Matylda zdawała się wprawdzie nad wiek rozwiniętą, jakaż to jednak zmiana gwałtowna czekała ją w stosunku z człowiekiem, którego dotąd znała zaledwie. Raoul umiał śmiało i po kawalersku zasuwać rygle w gabinetach restauracyjnych, był jednak człowiekiem nadto światowym, i pełnym istotnie (w czem się pani de Gouix nie pomyliła) uczuć delikatnych, aby równie śmiało i obcesowo przekroczyć próg wiodący do żony. Jak znajdzie się Matylda w tem nowem położeniu? Ptaszki i najbardziej ułaskawione nie lubią, gdy im skrzydełka obcinają.

Pod wpływem owych uwag niepokojących, Raoul przepędził milcząco część drogi, usiadłszy obok żony. Wagon był próżny zupełnie, mógł więc bezkarnie ściskać w dłoniach rączki Matyldy. Ktoby ich jednak był zobaczył, ją, najspokojniejszą w świecie, zostawiającą rączki w uścisku prawie bezmyślnym męża, a Raoula z brwią namarszczoną, z ustami drżącemi nerwowo, z wzrokiem błędnym i z miną zafrasowaną, byłby przypuszczał, iż to raczej pojednanie po pierwszej burzy małżeńskiej, niż samo rozpoczęcie kampanji.

Zaczął wreszcie rozmowę od pytania obojętnego, czy nie czuje się Matylda dzisiejszym rankiem zbytecznie zmęczoną? Odpowiedziała pół uśmiechem, zapewniając, iż trud nie był znowu tak wielkim. Nawzajem wszczęła pogadankę o przyszłem urządzeniu ich domu, o liczbie służby na wsi i w mieście. Na wsi, ma się rozumieć, obejdą się połową tego, co wymaga życie w Paryżu.

Raoul przytakiwał bądź niemym znakiem, bądź słówkiem łagodnem, słuchając organu niskiego i melo-

dyjnego Matyldy. Działo się po jego myśli, a jednak ten spokój dziwić go zaczynał.

Niewiniątko przemieniło się w lot w poczciwą, zapobiegliwą gosposię. Mówiła o całem urządzeniu domu z taką swobodą, jakby w tym wspólnym domu mieszkała od dawna. Zaczęło go to wreszcie niecierpliwić. Życzenia spełnione zdawały się krążyć koło niego, niby Chochliki złośliwe, z drwiącem pośmieszkiwaniem. Nie spodziewał się, iż plan przez niego tajemnie osnuty, zostanie tak rychło w życie wprowadzony, i to przez Matyldę!

Ta rozmowa codzienna, prozaiczna, wyglądała na gęsty i monotonny kapuśniaczek listopadowy, którego kropelki zdają się do szpiku i kości przenikać. Pod jego wpływem czuł jak powoli lodowacieje, nie mogąc pozbyć się jednocześnie rozstroju nerwowego. Spróbował raz otoczyć ramieniem kibić Matyldy, gdy mu się jednak zręcznie wyślizgnęła, bez pospiechu, delikatnie, nie zdradziwszy atoli ani jednem czulszem słowem, właściwego stanu swojej duszy, nie powtórzył więcej próby niefortunnej.

Ciężar spadł mu z serca, gdy wysiadł wreszcie z żoną na stacji. To sam na sam, tak cudownie odpowiadające ułożonemu naprzód programowi, przygniatało go teraz, wydawało się wielką śmiesznością. W małej karetce, którą po nich przysłano, usiadł naprzeciw Matyldy. Tyle czasu straciwszy, czyż warto zapuszczać kotwicę, skoro jest się tak blisko portu? Ta jednak karetka niska i szczupła, łączyła ściślej parę małżonków, niż wielki, przestronny wagon. W zmroku zapadającym powoli, kształty wiotkie młodej dziewczynki rysowały się konturem niepewnym, delikatnym, i wydawały się jeszcze ponętniejszemi.

W sukience z fularu lapis, tak skromnej, jakby była z perkalu, tylko układającej się w miększe fałdy i migocącej w zgięciach blaskiem jedwabiu, w białym kapelusiku ryżowym, ozdobionym wianuszkiem polnych rumianków i bławatów, Matylda stawała się znowu czarownem i niebezpiecznem zjawiskiem, na balkonie w pałacyku na ulicy *Lille.* Im więcej zbliżano się do zamku Gouix, tem zdawało się duszniejszem powietrze, którem oddychała Matylda. Ściskały ją za serce dziwne przeczucia, ulatujące zwykle, niby błędne ogniki, w koło czystej i jasnej skroni dziewicy nowo-zaślubionej, przeczucia, które przejmują te młode duszyczki, na poły trwogą, na poły jakąś nieznaną dotąd roskoszą, niby słodką pieszczotą. Raoul usłyszał lekkie westchnienie, gdy wjeżdżali w długą aleję, do zamku prowadzącą.

Spytał łagodnie, ku niej nachylony:

— Czyś cierpiąca?...

Skinęła główką potwierdzająco.

— Duszę się w tej karetce...

— Chwilkę cierpliwości... dojeżdżamy.

— Oh!—ręką zaprzeczyła—jeszcze daleko do zamku. Czuję zawrót w głowie... Tak bym się chętnie przeszła!...

Raoul kazał stanąć, pomógł wysiąść Matyldzie i odesłał woźnicę z rozkazem:

— Jedź naprzód! Pani życzy sobie iść piechotą.

Wkrótce ucichł w piasku miękkim kół turkot i powóz zniknął w cieniu kasztanów olbrzymich, któremi aleja była ze stron obu obsadzoną. Noc zapadła tymczasem, tylko na końcu alei, gdzie splecione drzew konary, tworzyły rodzaj zielonej kopuły, migotały niby robaczki świętojańskie, szyby kryształowe w oknach pałacu, oświetlonego rzęsiście. Drzewa szumiały tajemniczo nad ich głowami, a Matylda oparła się silniej o ramię męża, jak gdyby nagle osłabła. Nachylił się ku niej, obejmując w pół z troskliwością. Nie uwolniła się z objęcia tym razem, tylko czule szepnęła:

— Jakiś ty dobry, dzięki serdeczne!...

— Za co?— Raoul odrzucił. — Czyż twoje życzenia, twoje przyjemności, nie będą również mojemi?... Lubisz ten ogród droga Matyldo?...

— O tak! — cichutko szepnęła znowu. — Lubię bardzo to miejsce... tu spędzałam wszystkie moje wakacje... Spodziewałam się zawsze być kiedyś w tym zamku szczęśliwą...

Raoul milczał, wzruszony do głębi i zaniepokojony więcej, niż by rad był przyznać. Zaczęła mówić po chwili na nowo, zdziwiona zapewne jego milczeniem:

— Czy nie wierzysz w przeczucia?

Raoul staczał w tej chwili walkę zaciętą z własnem sercem. Próbował nadaremnie oprzeć się i przezwyciężyć czar dziwnie poetyczny, który go zewsząd otaczał i powoli opanowywał.

Ta Matylda, drżąca w jego objęciu, była zupełnie inną, niż owa „laleczka“, wymustrowana w salonie pani de Gouix, lub owa istota prozaiczna, siedząca obok niego w wagonie.

Wśród klombów w parku kwitnących, zdawała się i ona kwiatem najcudowniejszym, najwonniejszym. Czyż Raoul nie wystrychnie sam siebie na dudka prawdziwego, upierając się w śmiesznej dumie, nie porzuciwszy roli człowieka obojętnego, zlodowaciałego przedwcześnie, która, co prawda, zaczynała mu ciężyć djabelnie. Odpowiedział ostrożnie:

— Jakież to były przeczucia, droga moja? Opowiedz mi je!... nic tak nie zachęca jak przykład osobisty.

Zatrzymała się i po chwili wahania rzekła:

— A więc... Czy wierzysz, że przywiązanie naprzód magnetycznie odczuwamy?

Gra słów zaczynała interesować Raoula.

— Przywiązanie?... Czy chcesz mówić o miłości?

W tonie jej odpowiedzi drgało pewne niemiłe zdziwienie.

— Tak, zapewne... Wy bo mężczyźni odróżniacie niepotrzebnie słowa jedno i to samo znaczące.

— Może — uśmiechnął się Raoul. — Zresztą masz słuszność zupełną... Jeżeli gdzie istnieje jasnowidzenie, to w miłości. Dwie dusze nią połączone, musiały znać się od wieków. (C. d. n.)

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.